

# „ZAPIS”, „SPOTKANIA” I POTYCZKI Z KURONIEM

## Sprzeciw wobec systemu

Moje pierwsze doświadczenie – jeszcze dziecinne – dotyczy uroczystości w Gnieźnie z okazji 1000-lecia Chrztu Polski w 1966 roku. I to było dosyć szokujące, bo odbywały się one jednocześnie z uroczystościami państwowymi, gdyż komuniści organizowali wtedy kontrochody. Pamiętam, że w Gnieźnie na Wzgórzu Lecha przed katedrą św. Wojciecha była Msza św. sprawowana przez prymasa Stefana Wyszyńskiego, a na oddalonym o 350 metrów rynku odbywały się uroczystości z udziałem niejakiego Mariana Spychalskiego, peerelowskiego marszałka. Dla dziesięcioletniego dziecka to było przeżycie – takie zestawienie tych dwóch wydarzeń.

Wychowywałem się w domu katolickim, chodziłem do kościoła, ale pierwszy raz widziałem, że w jednym miejscu mówi się o Bogu i tysiącletniej tradycji chrześcijaństwa w Polsce, a z drugiej strony odbywa się jakaś propagandowa impreza komunistów, która chce konkurować z uroczystością kościelną. To była konkurencja bezpośrednia, dochodziły do mnie odgłosy tamtego zgromadzenia. Tam pierwszy raz doświadczyłem tego, że bycie katolikiem może być konfrontowane z jakąś inną, państwową, peerelowską rzeczywistością w taki sposób.



Fot. z arch. autora

Paweł Nowacki, jesień 1976 r.

## Dom rodzinny

Poznawałem świat z perspektywy małego wielkopolskiego miasteczka Wrześni. Przerzennie wszystko było tam niestychnie poukładane, jak przystało na miasteczko o wiekowej tradycji; z rynkiem, ratuszem, dużym gotyckim kościołem farnym, który bryłą dominował w pejzażu miasta – to dawało poczucie ładu i sensu. Byłem ministrantem w tej parafii. Września należy do archidiecezji gnieźnieńskiej i na Gniezno spoglądało się z perspektywy tej mojej parafii jako na prawdziwą stolicę, tę historyczną, ale i stolicę diecezji, z katedrą – matką kościołów, miejscem kultu św. Wojciecha, świętego, którego postać razem z postacią bp. Stanisława Męczennika obecna też była w ołtarzu mojego kościoła parafialnego.

Miałem takie proste, dziecięce spojrzenie – na początku było dwóch biskupów, którzy swoim męczeństwem stanowili dwa filary Kościoła w Polsce. Pamiętam też, że jako dziecko słuchałem nauk stanowych (w latach sześćdziesiątych), które głosił podczas wizytacji prymas Polski i ordynariusz diecezji Stefan Kardynał Wyszyński. Naukę o tych dwóch biskupach jako podwalinach chrześcijaństwa w naszym kraju pamiętam właśnie z jego słów – męczeństwo za wiarę i odwaga aż po śmierć w mówieniu prawdy wobec władcy.

W moim domu ojciec niemal co wieczór słuchał Radia Wolna Europa, choć należał do PZPR (dowiedziałem się o tym dość późno, sam nie wiem, czy nie wtedy, kiedy wystąpił,

czyli w 1980 r.). O jego przynależności do partii zresztą nigdy nie rozmawialiśmy. Często natomiast rozmawiałem z ojcem o tym, co mówiono w radiu – o zbrodni katyńskiej, o konflikcie sowiecko-amerykańskim o Kubę i o udziale Ludowego Wojska Polskiego w agresji na Czechosłowację. Później wiele tematów historycznych przedyskutowałem ze swoim nauczycielem historii w liceum Januszem Lenartowiczem.

### **Studia na KUL**

Podjęcie studiów na KUL było zupełnie świadomym wyborem (choć o samym kierunku zdecydowało losowanie, wybierałem między psychologią, filozofią, polonistyką a historią sztuki). Chciałem studiować na jedynej niekomunistycznej uczelni w Polsce. Wiedziałem, że tam nie ma nauki o budowie socjalizmu ani żadnych filozofii marksizmu-leninizmu.

Już podczas praktyk „0”, po zdaniu egzaminów wstępnych na historię sztuki, spotkałem Janusza Krupskiego. Mogę powiedzieć, że jako człowiek kontestujący system PRL kształtowałem się w dużej mierze pod jego wpływem. Jako beani, czyli jeszcze nie studenci, przesiewaliśmy piasek i nosiliśmy cegły, budując fronton KUL. Po południu krótkie wykłady z historii regionu i kraju prowadził dla nas student, chyba wówczas piętego roku Janusz Krupski.

### **Środowisko**

To, co było istotne wtedy, w połowie lat siedemdziesiątych w Lublinie, to środowisko akademickie skupione wokół dominikanina o. Ludwika Wiśniewskiego, z którym zresztą byłem związany bardzo luźno. Do sałek w podziemiach kościoła na Złotej przyszedłem zaledwie kilka razy podczas studiów, ale uczestniczyłem w Mszach odprawianych przez niego w dominikańskiej bazylice. Miałem też serdeczne kontakty z księżmi, którzy mieszkali w akademickim konwikcie, a przybyli z diecezji przemyskiej. Bo tak naprawdę kluczową postacią dla środowiska późniejszych „Spotkań” był ks. bp Ignacy Tokarczuk, ordynariusz diecezji przemyskiej. Jego postawa, duch sprzeciwu wobec komunizmu tworzyły istotny klimat dla tego, co czuliśmy i robiliśmy. To, że był ktoś taki, kto bez zgody na budowę stawiał kolejne kościoły w swojej diecezji – stanowiło dla mnie, młodego człowieka, niezwykły przykład i oparcie. Choć się z Nim nigdy osobiście nie spotkałem, mam Mu wiele do zawdzięczenia, mam Mu za co dziękować, także za ponad półroczny okres ukrywania się w parafiach diecezji przemyskiej. Wiem, że to był wynik Jego osobistej prośby do kilku kapłanów tej diecezji, którzy zresztą ochoczo nam pomagali.

### **Niezależny ruch wydawniczy**

W połowie lat siedemdziesiątych narodził się w Lublinie ruch wydawniczy poza cenzurą. Z jednej strony pojawiła się inicjatywa, aby drukować komunikaty Komitetu Obrony Robotników, a z drugiej uporczywe pragnienie trójki ludzi: Janusza Krupskiego, Bogdana Borszewicza i Piotra Jeglińskiego, którzy spotkali się na KUL jeszcze w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, aby złamać system cenzury państwowej i po prostu drukować książki, czasopisma. Piotr Jegliński wyjechał na jakąś sesję studencką do Paryża, z której nie wrócił. To on wykombinował powielacz, który trafił do Polski. W 1975 r. wydrukowano na nim *Folwark zwierzęcy* Orwella. O ile pamiętam, to ten pierwszy powielacz przywiózł do kraju Wit Wojtowicz, obecnie dyrektor muzeum w Łańcucie. Znałem się z Witem z akademika. To on któregoś dnia w atmosferze tajemniczości, mówiąc że „sprawa jest ryzykowna, ale ważna”, zaproponował, abym zaczął z nim i jeszcze kilkoma kolegami drukować. Ja nie miałem takiego przekonania, że teraz, kiedy zaczynam kręcić korbą powielacza, przyczy-

niam się do walki z komunizmem czy otwieram nowy etap historii. Miałem przekonanie, że to są tajne inicjatywy, które od początku PRL tu istniały, a ja tylko dołączam do nich, bo nadszedł mój czas. Istotnie poniekąd tak było. Wówczas w Polsce istniały już: Polskie Porozumienie Niepodległościowe, wcześniej rozbity Ruch; ludzie ze środowiska KUL siedzieli w więzieniach, np. Łukasz Czuma. Wiedziałem, że ktoś tam konspiruje, ale nie sądziłem, że można uczestniczyć w tym w taki prosty sposób – drukować bibułę. W 1976 r. nie było żadnych podziemnych wydawnictw; były różne środowiskowe inicjatywy, takie jak duszpaństwo akademickie, gdzie mówiło się, jak wygląda historia Polski, dlaczego system komunistyczny jest absurdem. To były towarzyskie spotkania, wykłady, dyskusje, picie herbaty – chińskiej albo indyjskiej. U Bożenki Wronikowskiej (wówczas asystentki prof. Barbary Filarskiej) zawsze była świetna chińska herbata. Tam się mówiło o postaciach, które miały szlachetną kartę i które angażują się w różne działania niepodległościowe. Zjawiali się profesorowie i wykładowcy KUL: Władysław Bartoszewski, Adam Stanowski, Jacek Woźniakowski, Zdzisław Szpakowski. Byli nieco starsi koledzy, np. Janusz Bazydło, który po 1968 r. przesiedział kilkanaście miesięcy za uczestniczenie w manifestacji w miasteczku akademickim w Lublinie. To był taki epizod, może mniej znany, w marcu '68, kiedy studenci lubelscy wyrażali swoją solidarność z tym, co się dzieje w Warszawie.

### Alkoholowa Zuzia

Powoli do mnie dochodziło, że to, co robię, jest ważne i potrzebne. To był wyłom w systemie totalnej cenzury. Kto wśród moich kolegów studentów razem ze mną kręcił korbą i pisał

matryce? – Janek Andrzej Stepek i jego żona Ilona, Michał Zulauf (mieszkali na Sienkiewicza w Lublinie, to było prawie za miastem), Wojtek Butkiewicz, Boguś Pietrasiewicz i Tadek Hofmański – my mieszkaliśmy w sześciuosobowym pokoju w męskim akademiku KUL na ulicy Niecałej (wówczas Sławińskiego), Zenek Mazurczak, który mieszkał na stacji na LSM-ie.

Pierwsze moje strony drukowałem w akademiku KUL, na spirytusowym powielaczu, który konspiracyjnie został nazwany „Zuzią”. Zamiast spirytusu używaliśmy denaturatu, który potwornie śmierdział. W 1975–1976 r. nikt właściwie nie myślał o tym, że zagrożenie inwigilacją było bardzo duże, że zapach denaturatu może spowodować naszą wpadkę. Bardziej obawialiśmy się tego, że w akademiku KUL, w którym był zakaz picia alkoholu, ów alkoholowy odór spowoduje skandal. Uszczelnialiśmy więc okna i drzwi kocami czy pakułami, żeby ten porażający zapach nie wydobywał się na zewnątrz.



Później uświadomiliśmy sobie, że nie ma sensu narażać tak wprost instytucji uniwersytetu i przenieśliśmy druk z akademika na stację. Tak powielacz trafił do willi przy ulicy Sienkiewicza, którą wynajmowali studenci różnych lubelskich uczelni. Tam mieszkał nasz kolega Janek Stepek i w jednym z pomieszczeń drukowaliśmy całymi nocami. W taką noc można było ręcznie zadrukować kilka ryz papieru. Dlatego pierwszy numer „Zapisu” był drukowany ponad pół roku.

Pamiętam, że w czerwcu '77 kończyliśmy drukować ten ponad stustronicowy pierwszy numer „Zapisu” w nakładzie 300 plus 40 egzemplarzy w wynajętym mieszkaniu przy ulicy Skołuby. Pokój, w którym drukowaliśmy, miał jakieś 2,5 na 3 metry i Tadzio Hofmański zaczął się staniać i zaślabł; wyglądało to na zatrucie alkoholowe. Dopiero przewieziony do akademika dał się docucić i doszedł do siebie.

Ten pierwszy numer drukowali: Wit Wojtowicz, Janek Stepek, Michał Zulauf, Wojtek Butkiewicz, Bogumił Pietrasiewicz, Tadzio Hofmański i ja. Matryce przywoził z Warszawy Janusz Krupski. To była prawdziwa pionierka, taka wedle dzisiejszych określeń „ostra jazda”. Niektórych przy następnym drukowaniu już nie było.

Pierwszy numer „Zapisu” na okładce opatrzony był rysunkiem Wita Wojtowicza z kagankiem oświaty i sygnowany: „Nieocenzurowa Oficyna Wydawnicza”. Niezależna Oficyna Wydawnicza zaczęła się od drugiego numeru „Zapisu”.

### **Druk i palenie „Zapisu”**

Drugi numer „Zapisu” poszedł nam szybciej. Pamiętam, że przyjechałem go drukować w czasie wakacji i ukazał się jesienią 1977 r. Przy druku trzeciego numeru powstał kryzys, otóż po wydrukowaniu połowy numeru i zadrukowaniu jakiś 100 ryz papieru okazało się, że już nie dostaniemy od naszych kolegów z Warszawy reszty matryc do druku. I nie chcę wchodzić tu w spory, czy była to decyzja Mirosława Chojeckiego, czy kogoś innego. W tym trzecim numerze była drukowana *Mała Apokalipsa* Konwickiego. To dla nas też była taka mała apokalipsa, bo ten nasz druk musieliśmy spalić w kotłowni w KUL-owskiego akademika.

### **Jawność i konspiracja**

Po tym kryzysie powstała inicjatywa wydawania własnego pisma. Stąd zrodził się *Niezależny Kwartalnik Młodych Katolików „Spotkania”*. Środowisko, które go wydawało, było w pewnym sensie jawne, choć nie do końca. Niektórzy byli znani z postawy i działalności opozycyjnej – Janusz Krupski czy Janusz Bazydło. Inni całkiem świadomie, po prostu chcieli



Fot. z arch. autora

U góry od lewej: Małgorzata Nowacka (żona), Paweł Nowacki, Ewa Jaworowicz; u dołu: Jan Stepek z żoną Iloną, Lublin, 28 grudnia 1982 r.



się podpisać w stopce redakcyjnej – Zdzisław Bradel, Stefan Szaciłowski, inni jeszcze, jak Józek Ruszar, już się podpisywali pod krakowskim Studenckim Komitetem Solidarności. Niektórzy drukarze uznali, że skoro konspiracyjnie, to nie będą sygnować żadnych apeli, listów. Ale już samo uczestnictwo w Mszy św. z okazji rocznicy Katyń, 3 Maja czy 11 Listopada było manifestacją publiczną. Takie uroczystości były pod szczególną „opieką” SB. Tak naprawdę więc z klasyczną konspiracją niewiele to miało wspólnego. Był taki pomysł, żeby ci, którzy drukują, nie ujawniali się, żeby to choć trochę miało jakieś konspiracyjne zasady, ale pamiętam że np. Anka Żurawska czy jej późniejszy mąż Wojtek Samoliński robili właściwie wszystko: zbierali podpisy pod petycjami, sami je podpisywali, byli aktywni w duszpasterstwie o. Ludwika, a potem przepisywali matryce, drukowali i chyba też kolportowali.

Drukowały właściwie dwa zespoły: Wojtkę Samolińskiej (tam byli m.in. Krzyś i Anka Żurawscy) i druga grupa, w której był Zenek Mazurczak, Wit Wojtowicz, Wojciech Butkiewicz, Michał Zulauf i ja, a później Krzyś Wasilewski z żoną Jolą, jeszcze później Zyga Kozicki z rodzeństwem.

Po pierwszych wpadkach powielaczy, drukarni, magazynów z papierem (to się stało wiosną 1978 r.) – wszystko zaczęło się zmieniać. Na takim małym KUL właściwie było wiadomo, kto się drukowaniem zajmuje. Wtedy już stało się oczywiste, że skoro esbecja wie – kto, to trzeba, by nie wiedziała – kiedy i gdzie.

### **Wpadka pierwszego powielacza**

W marcu 1978 r. wraz z trzecim numerem „Spotkań” wpadła stacja na ulicy Skołuby, gdzie drukowaliśmy. To było bardzo dotkliwe, bo wpadła tam duża ilość papieru, część nakładu, matryce i elektryczna maszyna do pisania. Wcześniej w nocy milicja zatrzymała w Kurowie na trasie z Warszawy do Lublina samochód Leszka Mądzika, szefa Sceny Plastycznej KUL. Razem z Leszkiem jechał mój kolega Michał Zulauf, który w swoim bagażu wiózł powielacz, świeżo z Paryża. To była nasza bardzo poważna strata. Po rewizji samochodu zatrzymano trzy, a może nawet cztery osoby, które razem z Leszkiem jechały. A rano, dokładnie o szóstej esbecy weszli na stację, gdzie czekałem niecierpliwie na Michała i powielacz. Czekałem do czwartej, potem się zdrzemnąłem. Pierwszy raz esbecy pod drzwiami i pod oknem. Pamiętam tę pierwszą adrenalinę. Kombinowałem, czy uda mi się uciec, ale nie było szans. Było ich najpierw sześciu, potem ośmiu. Tak całkiem szczerze, za każdym razem, kiedy byłem zatrzymywany, najbardziej bałem się, że jak mnie porządnie pobiją, to zacznę sypać. Naprawdę bardzo bałem się przemocy fizycznej. Ale dzięki Bogu nigdy nie byłem bity, owszem, straszono mnie na różne sposoby, usiłowano podejść, chociaż na szczęście nikt mnie nie uderzył.

## **Łzy mamy, powielacz z NRD**

Jednak najbardziej dramatyczne przeżycie z tamtego czasu to sytuacja rodzinna, o tym właściwie trudno mi mówić i dziś, bo jak się patrzy na łzy matki, to serce mięknie. Miałem przewieźć w częściach powielacz z NRD. Nie chciałem rodziców w nic wtajemniczać, powiedziałem tylko, że sprawa jest ważna i że muszę jechać, ale nie mogę powiedzieć, o co chodzi. Zapewniałem, że to nie jest żadna niemoralna sytuacja, ale muszę na kilka, może kilkanaście dni wyjechać. Najgorsze było to, że ktoś tam gdzieś się spóźnił i ja na tę eskapadę musiałem pożyczyć pieniądze od ojca. Widziałem jego niepokój, ale zniósł to dzielnie, nie pytał o nic. Natomiast mama, płacząca i błagająca, bym się nie pakował w jakąś niejasną, ryzykowną historię, to było nadzwyczaj trudne przeżycie. Ostatecznie to, że mama z płaczem pozwoliła mi wyjść z domu, przez szloch mówiąc, że będzie się modlić, uważam do dziś za jakiś rodzaj bohaterstwa. Chodziło mi po głowie, żeby przypomnieć mamie jej ojca, Franciszka Kocika, który w 1918 r. jako szesnastolatek poszedł do powstania na Niemca. Ale nie użyłem tego argumentu. Choć miałem świadomość, że tym razem to może być nie tylko SB, ale także Stasi...

Te wyprawy do DDR po powielacze to były, jak nam się wydawało, takie poważniejsze próby. Powielacz był wieziony z Francji tranzytem przez Niemcy Zachodnie i wyładowywany w DDR. Tam rozbierany był na części, żeby łatwiej można było go szmuglować. W latach siedemdziesiątych można było wyjeżdżać z Polski do DDR w ramach podróży turystycznych na pieczątkę w dowodzie. I tak też podróżowaliśmy. Przerzuty organizował Zenek Mazurczak, który mówił świetnie po niemiecku, miał swoich przyjaciół w Niemczech. Ja nie miałem z nimi żadnego kontaktu. Przyjeżdżałem do DDR i przez dwa–trzy dni bawiłem się w prawdziwego turystę. W Dreźnie zwiedzałem Zwinger i galerię malarstwa, w Weimarze muzeum Schillera i Goethego. On jechał innym pociągami, brał sprzęt zdeponowany u swoich niemieckich przyjaciół. Spotykaliśmy się o wyznaczonej porze, w wyznaczonym miejscu w Erfurcie, raz był to dworzec kolejowy, innym razem plac przed katedrą, i zamienialiśmy dwie identyczne torby. Zabawne – jak w powieści szpiegowskiej. Ale dla mnie to było ważne doświadczenie z innego powodu, rozumiałem, że także tu, w DDR, są ludzie gotowi podjąć ryzyko, by ktoś w Polsce mógł drukować poza cenzurą.

Do dziś uważam, że ten powrót bez przeszkód to był cud za sprawą modlitw mamy, bo celnik nie zajrzał mi do torby. Ale drugim razem było jeszcze cudowniej. Celniczka zażądała mojego bagażu do kontroli, bardzo dokładnie przejrzała całą zawartość plecaka, potem poprosiła o torbę, włożyła rękę do wnętrza i nie wiem jak, ale nie znalazła tych metalowych części...

## **Powielacz za wódkę**

Pomysł, żeby w drukować w kraju poza cenzurą, nie był nowy. Podziemne drukarnie były w Polsce i w okresie zaborów, i w okresie okupacji sowieckiej, i niemieckiej. Ale żeby to było możliwe w połowie lat siedemdziesiątych, trzeba było taki sprzęt do kraju sprowadzić. Trzeba było mieć bzika lub determinację Piotra Jeglińskiego, żeby to zrobić. Gdy ze swoim pomysłem przyszedł do Jerzego Giedroycia, ten odmówił. Gdy chciał do tego przekonać Jana Nowaka-Jeziorańskiego, nie uzyskał pomocy. Mimo że i jeden, i drugi z wielkich Polaków emigracji żyli w głębokim przekonaniu, że właśnie PRAWDA należy się społeczeństwu z za żelaznej kurtyny, nie widzieli początkowo sensu wysyłania powielaczy do Polski. Żeby więc Piotr miał na nie pieniądze, wysyłaliśmy mu do Paryża wódkę w paczkach. Można było z Polski za granicę wysłać legalnie 10 butelek wyborowej czy żytniej. Jegliński handlował tą wódką, chyba nielegalnie, z właścicielami barów i małych sklepików. Takie były początki podziemnego druku w Polsce.

## Dojrzewanie

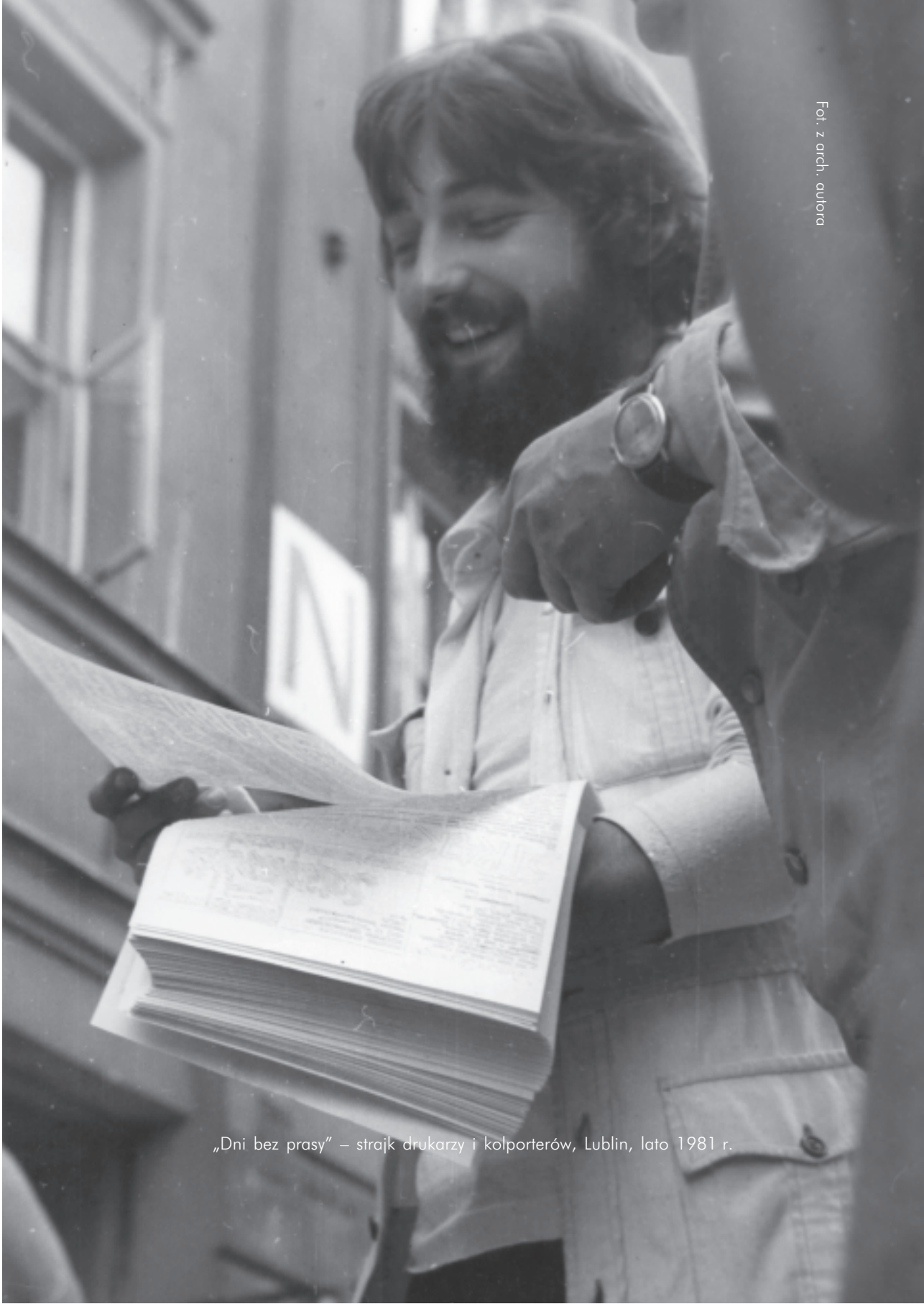
Nie wiem, czy wiosną 1980 r. ktoś w Polsce przeczuwał, że to będzie wyjątkowy rok. Raczej poprzedni rok 1979, rok papieskiej pielgrzymki, przeżywaliśmy jako wyjątkowy. Utkwiły mi w głowie nie tylko słowa modlitwy Jana Pawła II do Ducha Świętego o cud odmiany z placu Zwycięstwa w Warszawie, ale także spotkanie Papieża z KUL w Częstochowie. Słowa o wierności prawdzie i zobowiązaniu, jakie w sposób szczególny ma społeczność akademicka, by poszukiwać prawdy, trafiały w sedno. Ale codzienność schyłkowej epoki Gierka była przygnębiająca. Nawet jeśli ta tęsknota za odmianą, to czekanie na jakąś zmianę się pojawiało, to nie wiadomo było, skąd ta zmiana ma przyjść. Oczywiście, że z rozmów z kolegami z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela czy KPN, krakowskiego SKS, gdańskiego Ruchu Młodej Polski czy Wolnych Związków Zawodowych wynikało, że wszyscy na coś czekają, ale nikt chyba nie przeczuwał, że to może być tak szybko. Pamiętam, jak Tadeusz Kowalik na jednym z wykładów Latającego Uniwersytetu mówił, że wyczerpuje się ekonomiczny potencjał zmian związany z pożyczkami z Zachodu, że coś się musi stać. Pamiętam, jak w listopadzie 1979 r. w mieszkaniu Andrzeja Butkiewicza na Świętoduskiej w Gdańsku Bogdan Borusewicz i Krzysztof Wyszkowski tryskali optymizmem, wierząc w rychły koniec komuny. Ale była też świadomość kolejnych zatrzymań, wpadek bibuły i sprzętu. I była też pamięć śmierci Stanisława Pyjasa, to był sygnał, że władza gotowa jest nawet zabić.

To prawda, że te wszystkie nakłady, które udawało się wydrukować, przewieźć, ukryć, kolportować, były małe, liche i bez znaczenia, gdyby je przeliczyć na głowę mieszkańca PRL. Dla mnie właściwie ważne zaczynało być to, że to, co robię, to jest właśnie akt niezgody, sprzeciw wobec kłamstwa, którym był komunizm. I pamiętam, że ta odwaga stawała się coraz głośniejsza. W maju 1980 r. drukowaliśmy kolejny numer „Spotkań” w domku letniskowym prof. Ireny Sławińskiej na Pojezierzu Łęczyńskim, ale to była już jakaś taka „normalka”. Natomiast w tym samym czasie o. Ludwik Wiśniewski i ludzie z jego duszpasterstwa bronili aresztowanego Jana Kozłowskiego. Jan Kozłowski to był rolnik spod Stalowej Woli, który redagował „Placówkę” i organizował chłopów. Oskarżony został o pobicie ormowca i skazany na dwa lata. List protestacyjny przeciwko jego skazaniu podpisał właśnie o. Ludwik i wielu moich „spotkaniowych” kolegów. Ale pamiętam, że w tej akcji w obronie Kozłowskiego uczestniczyły chyba wszystkie środowiska opozycji lubelskiej – i duszpasterstwo, i ROPCiO, i „Spotkania”, i jacyś ludzie z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, których ja nie znałem. Pamiętam, że nie mogliśmy się skontaktować z nikim w Lublinie, bo ciągle wszyscy jeździli do Stalowej Woli na rozprawy, tam były takie prawdziwe protesty w sądzie, potem zatrzymania, głódówki w aresztach. I mnóstwo ulotek. Wpadki kolporterów z tymi ulotkami. No, taka prawdziwa zadyma, ale na poważnie. A my niestety na wczasach nad jeziorem drukujemy kwartalnik. Ja jakoś specjalnie blisko się z o. Ludwikiem nie znałem. Ale wtedy myślałem sobie, ech!, ci dominikanie dają czadu.

## Precz z Krąpcem!

Studiowałem na KUL w latach 1975–1980; to były czasy długiej kadencji rektora o. Alberta Krąpca, dominikanina, profesora filozofii, i prorektora Stefana Sawickiego, profesora polonistyki. Jestem całkowicie przekonany, że tych dwu wybitnych ludzi zapewniło godny i godziwy byt katolickiej uczelni w tamtych czasach. Pytania, które nieraz wówczas sobie stawialiśmy, brzmiały: Jaką cenę muszą płacić władze uczelni, by zapewnić jej byt i dalej ją rozwijać w komunistycznym państwie? Jak zachować wąski margines niezależności instytucji w totalitarnym państwie, która tak naprawdę funkcjonuje dlatego, że państwo wyraża

Fot. z arch. autora



„Dni bez prasy” – strajk drukarzy i kolporterów, Lublin, lato 1981 r.



łaskawą zgodę na jej istnienie? Kwestia nie była błaha i niełatwa do rozstrzygnięcia. Miałem świadomość, że studiuję na KUL, bo nie chciałem się uczyć choćby ekonomii socjalistycznej, bo chciałem słuchać profesorów, którzy nie kłamią o dziejach Polski i nie kłamią o człowieku, korzystałem z tej wyspy swobody, to dawał mi uniwersytet, ale byłem pod wrażeniem takich postaci jak bp Tokarczuk, jak o. Ludwik. To był trudny dylemat. Nie przypominam sobie, by ktokolwiek był relegowany z uczelni z powodów politycznych za swoje poglądy. Dziś można mówić, że to tylko przyzwoitość, ale wówczas dawało to nam, studentom, poczucie bezpieczeństwa. A jednak wówczas protestowałem aż dwa razy przeciwko Ojcu Rektorowi. Od 1976 r. staraliśmy się jako Komisja Koordynacyjna Stowarzyszeń Akademickich KUL – to był taki dziwny twór quasi-samorządowy – o utworzenie prawdziwego samorządu studenckiego. Gdy ostatecznie, chyba w 1978 r., Ojciec Rektor odpowiedział negatywnie, samotnie krzychałem pod rektoratem: – Precz z Krąpcem! Nikt nie wyszedł z rektoratu, nikt nie chciał ze mną rozmawiać, ale i nikt nie chciał mnie z uczelni wyrzucić. Drugi raz protestowałem w podobnych słowach, ale już publicznie (na wiecu w auli KUL w 1979 r.), gdy Ojciec Rektor zakazał pieszej pielgrzymki do Częstochowy na spotkanie z Ojcem Świętym. Studenci spontanicznie ogłosili taką inicjatywę, gdy się okazało, że władze (wojewódzki komitet PZPR) nie podstawią wcześniej zapowiadanego pociągu, którym cały uniwersytet miał pojechać do Częstochowy.

W końcu kilkudziesięciu studentów, pieszych bohaterów z Marianem Piłką na czele, do Częstochowy doszło. A komuniści podstawili jakieś dodatkowe wagony do pociągu częstochowskiego i na stojąco dojechalibyśmy do Częstochowy.

### **Lubelski lipiec '80**

W czerwcu 1980 r. zdałem ostatnie egzaminy, na krótko pojechałem do rodzinnej Wrześni, by w połowie lipca wrócić do Lublina i pisać pracę magisterską. To było już po połowie lipca, może 17, może 18, w pociągu pospiesznym z Warszawy tuż przed godziną 23 ogłoszono, że pociąg skończył bieg na stacji Motycz i dalej nie pojedzie. To był szok: środek wakacji, wycieczki, kolonie, i pociąg z Warszawy nie może dojechać do Lublina. Coś takiego zdarza się, gdy jest jakaś poważna katastrofa. A tu nie wiadomo, o co chodzi. Kilkadziesiąt metrów od stacyjki czekały na kolejowych pasażerów dwa autobusy. Następne ponoć były w drodze. Gdy wsiadałem do jednego z nich, usłyszałem takie zdanie: – Strajkuje węzeł lubelski. – Autobusem dotarłem około północy pod dworzec, stąd pieszo do domu.

Następnego dnia rano szok następny – stoi komunikacja miejska. To robiło wrażenie, wszyscy poruszali się po mieście pieszo. Bynajmniej nie panowała atmosfera żadnego entuzjazmu, czuło się jakieś napięcie; do tego kompletna dezinformacja. Ze sklepów w długich kolejkach wykupywano sól, cukier – jak na wojnę. Gdy dotarłem na dworzec, zobaczyłem biało-czerwone flagi i węzeł zablokowany lokomotywami na rozjazdach. Nikt jednak nie informował ludzi, co się dzieje, choć trwały wówczas rozmowy strajkujących z władzą.

Poszedłem z dworca na ulicę Męczenników Majdanka do Lubelskich Zakładów Naprawy Samochodów, a po drodze mijałem Agromet – Lubelską Fabrykę Maszyn Rolniczych. Tam zobaczyłem, że zakład stoi, że brama jest zamknięta. Pracownicy zza bramy powiedzieli mi, że jest strajk, ale oni nic nie wiedzą, a za bramę nie będą wychodzić, i tyle się tylko dowiedziałem. W LZNS nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Już nie pamiętam, czy to tego samego dnia, czy dzień później na ulicach Lublina pojawiły się plakaty z odezwą I sekretarza PZPR w Lublinie, niejakiego tow. Kruka, i chyba wojewody lubelskiego, które wzywały do odpowiedzialności, spokoju i, żeby wrócić do pracy. Wtedy pomyślałem: jeśli władza wzywa

i apeluje, to tej sprawy nie da się już przemilczeć. To już jest wiadomość oficjalna, choć tu nazywana dziwacznymi przestojami w pracy. To był ewenement jak na tamte czasy.

To, że ludzie domagają się zaniechania podwyżek, to było mocne, ale właściwie normalne. Zadziwiło mnie tylko, że pojawił się zupełnie inny postulat. Dotyczył rad pracowników, zarzucano im, że nie reprezentują robotników, i trzeba wybrać nowe. Ten postulat był sformułowany w lubelskim PKP i innych zakładach. Drugim ważnym postulatem było zagwarantowanie bezpieczeństwa strajkującym.

### **Telefon od Kuronia**

Mieszkałem gościnnie u moich znajomych, Bożeny i Janusza Wronikowskich. Ona była asystentką w katedrze historii sztuki starożytnej, a on marynarzem. To w ich niewielkim mieszkaniu „Spotkania” odbywały rozmowy redakcyjne już co najmniej kilka lat. W tym mieszkaniu wieczorem zadzwonił telefon i odezwał się Jacek Kuroń. Zapytał, z kim rozmawia, przedstawiłem się i powiedziałem, że jestem tu gościnnie. On na to, że ma ten telefon od Bożeny i że tutaj może liczyć na pomoc. Powiedział, że chodziłoby o informacje o strajkach, on z Lublina już ma dane, ale nie wie, co się dzieje w regionie. Uzgodniliśmy, że pojedę do Chełma i Kraśnika.

### **Chełm także strajkuje**

Podróżowałem stopem. W Chełmie byłem około południa. Nikt z przypadkowo spotkanych ludzi nie wiedział, czy strajkuje cementownia, ale na pewno nie jeździły autobusy miejskie. Tymczasem właśnie podjechał na pętlę miejski autobus. Zapytałem kierowcy, a ten całkiem szczerze bez strachu powiedział, że strajkowali wczoraj i dziś do południa, a teraz już jest po strajku, bo negocjacje się skończyły. Kierownictwo zakładu podniosło im zarobki, już tego nie pamiętam, ale wtedy to skrętnie zapisywałem. Chodziło o podniesienie grupy płacowej ze stawki np. 3,24 na 3,75 zł, bo ich przekwalifikowali o dwie grupy wyżej. To była jakaś stawka godzinowa czy taryfowa, która po przeliczeniu dawała podwyżki.

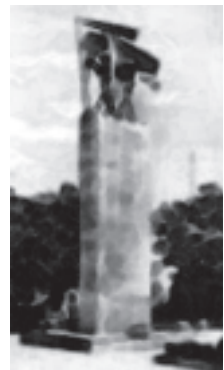
Po południu dotarłem też do cementowni pod Chełmem, ale tam nikt nie potrafił mi nic powiedzieć, czy strajkują, czy strajkowali. Ludzie się bali. Wróciłem do Lublina wieczorem, po godzinie 21 zadzwonił Jacek Kuroń. Opowiedziałem, czego się dowiedziałem. Uzgodniliśmy, że jutro sprawdzę, co w Lublinie i w Kraśniku. Nie dotarłem jednak do Kraśnika, bo nie mogłem się tam dostać. W Lublinie sytuacja się zmieniła, kursowało MPK, ale węzeł PKP nadal strajkował. Ukazał się nawet organ lokalnego komitetu wojewódzkiego PZPR – dziennik „Sztandar Ludu”, w którym relacjonowano rozmowy strajkujących z władzami, przyjazd delegacji partyjno-rządowych. Trudno było kupić ten numer w kiosku, choć zwykle to zalegało.

To, co mnie zaskoczyło, to precyzja przekazywanych informacji w Wolnej Europie. To było przyjemne doświadczenie, że moja praca dziennikarska poszła w świat. Dokładnie podano na antenie nawet sumę tych groszy podwyżki z zakładów komunikacji w Chełmie.

Kuroń w kolejnym telefonie zaproponował, abym pojechał znów do Chełma, bo tamtejsi kierowcy, gdyby nie spełniono ich postulatów, mieli powrócić do strajku.

### **Pomnik oblany farbą**

Pojechałem więc do Chełma i to był chyba 22 lipca, bo krążyły legendy o tym, że Edward Gierek był już raz w tym historycznym dla komunistów mieście, gdzie spotkał się z młodzieżą, ale ma przyje-





Warszawa, czerwiec 2005 r.

chać raz jeszcze. Sytuacja była napięta, ale to nie strajk był powodem. Kierowcy grozili wprowadzić nadal strajkiem, bo domagali się gwarancji bezpieczeństwa dla tych, którzy występowali wobec pracodawcy. W Chełmie była jednak inna sensacja.

Na centralnym placu miasta oblano farbą wysoki cokół pomnika braterstwa broni. A Chełm to było w PRL legendarne miasto, nazywane pierwszą stolicą PRL, tu wedle propagandy wydrukowano manifest PKWN. Akcje młodzieżowe, hufce pracy, czyny socjalistyczne, wizyty partyjnych notabli – to był podstawowy element letnich wydarzeń w Chełmie lat siedemdziesiątych. I nagle, gdy oczekiwano na wizytę Gierka czy kogoś innego ważnego z Warszawy, ktoś oblewa pomnik wdzięczności od góry do dołu. Okazało się, że choć go szorowano, farba nie zeszła, w związku z czym ustawiono piramidę z kwiatów i wieńców, ale nie do końca dało się tę farbę zakryć. I ja widziałem pomnik w kwiatach. Ludzie, którzy mówili o tym wydarzeniu z dumą, twierdzili, że „nad ranem chłopaki podjechali, zalali farbą i uciekli”, i że była to zawodowa akcja. Jeśli widziałem w lipcu '80 jakąkolwiek radość i satysfakcję ludzi, to było właśnie wtedy. Mówili to przypadkowo pytani chełmianie, że „nie będziemy już nikomu dziękować za takie numery jak PKWN”.

### **To prowokacja!**

Podbudowany nastrojami chełmskimi, wróciłem do Lublina i wieczorem jak zwykle dzwoni Kuroń. Opowiadam mu, że istotna korzyść z tych strajków to gwarancja nierepresjonowania strajkujących. Ale dodaję, że jest jeszcze jedna ważna sprawa, że oblano farbą pomnik

braterstwa broni i że to wzbudziło aplauz chełmian. On na to, że to prowokacja, że to przecież zrobili nieznan sprawcy. Ja mówię, że inspiratorzy strajków, o których mu referowałem, to też są nieznan sprawcy, nie znamy ich nazwisk. A on na to, że zgoda, ale pomnik to jest antyradziecka prowokacja, która może się skończyć wjechaniem czołgów. Odpowiadam, że sowieckie czołgi to już są w Polsce co najmniej lat trzydzieści kilka i że to nie jest kwestia do dyskusji. Ja gdzieś byłem, coś widziałem i mówię, co widziałem. Od tej chwili atmosfera rozmowy się zmieniła, Jacek Kuroń oświadczył, że nie puści tej informacji, a ja na to, że jak jej nie da, to nie będziemy dalej współpracować. On na to, że nie, że chciałby, abym jeszcze mu dał inne relacje. Ja, że dam, ale pod warunkiem że da historię z pomnikiem – bo oblanie pomnika komunistycznej władzy to wydarzenie, a jeśli nawet to prowokacja, to jest to również fakt, który uradował wielu ludzi. Kuroń na to, że nie, że musimy być ostrożni, bo czołgi sowieckie mogą wjechać w każdej chwili.

Wieczór później była w Wolnej Europie wiadomość o gwarancjach nierepresjonowania strajkujących kierowców w Chełmie, ale cisza o pomniku. Szlag mnie trafił, kląłem w duchu.

### żyć bez cenzury

Gdy zadzwonił Kuroń, powiedziałem mu, że to jest koniec naszej współpracy, bo nie widzę powodu, żeby on tak postępował z moimi informacjami, a on pyta: co się takiego stało? Więc wytłumaczyłem, że jeśli ważna informacja nie pojawia się w Wolnej Europie, to nie widzę powodu, abyśmy dalej współpracowali, i powiedziałem słowo, które głupio tu powtarzać, powiedziałem mu po prostu, żeby spierdalał, z jego strony też był bluzg w stylu: kurwa, młody człowieku. I tak skończyła się nasza krótka współpraca definitywnie. Nie spotkaliśmy się nawet po 1989 roku.

Właściwie to normalne, dziennikarze zbierają informacje, a redaktorzy je redagują. Jedne przeznaczają do publikacji, inne nie. Czy więc Jacek Kuroń był tylko zwykłym redaktorem, czy redaktorem swojej wizji politycznej?

Dla mnie istotne było i wówczas, i teraz pytanie, co się stało, co się naprawdę wydarzyło. Inaczej po co łamać cenzurę, po co kręcić korbą powielacza po nocach, przecież chodziło właśnie o złamanie politycznej cenzury?

Taki był mój dziennikarski epizod z lipca '80.

Wysłuchał i opracował Jarosław Wróblewski

